WYZWOLENIE EKONOMICZNE KOBIETY.

Wszystkie męskie partye społeczne czy polityczne, począwszy od konserwatywnych a skończywszy na najradykalniejszych, zgadzają się na jednym punkcie, mianowicie co do poglądu na »kwestyę kobiecą«, której istnienia lub przynajmniej racyi bytu stanowczo zaprzeczają. Ta zgodność reakcyonisty z socyalnym demokratą, antysemity z kahalnikiem, kapitalisty i robotnika jest niezbitym dowodem, że jeżeli »kwestya kobieca« istnieje, nie jest ona urojeniem rozpróżniaczonych kobiet sfery mieszczańskiej, jak chcą socyaliści, ani intrygą przewrotowców, jak sobie wyobrażają wszelakiego rodzaju »podpory społeczeństwa«, ani dziełem szatana według opinii mistyków, ale wypływa z ogólnego stosunku mężczyzny do kobiety bez względu na partyę polityczną lub klasę społeczną do jakiej należą.

Rozpatrzmy ten stosunek na przykładzie — a może znajdziemy odpowiedź na pytanie wiecznie i ciągle stawiane na nowo: czy kwestya kobieca istnieje i w czem tkwi jej jądro.

Wybieram przykład jaskrawy, aby tem dobitniej zaznaczyć ogromną różnicę, jaki istnieje między społecznemi ideałami mężczyzny, a stosunkiem jego do kobiety, zwłaszcza do swojej kobiety.

Proudhon indywidualność potężna zarówno pod względem intelektualnym jak i śmiałości poglądów na całokształt stosunków społecznych oraz odwagi w wypowiadaniu ich, stał się popularnym przez dwa aforyzmy, w których określił swój pogląd na ustrój społeczny: Pierwszy: »Własność jest kradzieżą« drugi »Kobieta może być tylko gospodynią lub kurtyzaną«. Dwa te zdania, które na pozór zdają się nie mieć żadnego związku, są z sobą w najściślejszej łączności, wykazują bowiem po jakich drogach kroczy »logiczny« umysł męski, kiedy od ogółu zjawisk, które obserwuje i w pewne prawa układa, przechodzi do siebie i najbliższej sobie istoty: kobiety.

Ten sam człowiek, który piętnuje wszelką własność prywatną, jako zbrodnię społeczną — z całą bezwzględnością silnej »męskiej« jednostki, traktuje kobietę jako prywatną własność mężczyzny i to własność zupełnie taką, jaką może być tylko przedmiot martwy, nie posiadający wcale samoistnej woli ani

samoistnego bytu. Posłuchajmy co mówi o stosunku swoim do kobiety, do swojej żony: »Największą przyjemność sprawia mi: jeść moją zupę, przyrządzoną u mnie, moją łyżką, przez moją kobietę, która pierze w domu moją bieliznę i ma staranie o moich rzeczach«. A dalej: »Jeżeli moja towarzyszka utrzyma się na tem, właściwem jej stanowisku, żeby rozmawiać ze mną tylko o rosole, widzę, że przyczyni się ona do wzmożenia mojej swobody, mojej indywidualności, mojej woli«. A jeszcze dalej: »Gdyby moja noga, albo moje serce było obdarzone mową... i mogło mi odpowiadać kiedy do niego mówię, lubiłbym tę nogę czy to serce, jako część mnie, jakby drugiego siebie. Jednakże byłbym zawsze ja panem nogi serca«.

Wyznania te streszczają się tak: moja żona gotuje moją zupę pierze moją bielinę, sporządza moje ubranie, aby przez to wzmogła się moja swoboda, moja indywidualność, moja wola. Nikt bezwzględniej nie określił stosunku kobiety do mężczyzny nikt dobitniej nie scharakteryzował zachłanności męskiego egoizmu, który podporządkowuje równą sobie istotę, swoim interesom i swojej wygodzie, nie troszcząc się wcale o jej swobodę, o jej indywidualność, o jej wolę.

Tego rodzaju egoizm był źródłem wszelkiej niewoli, jaka tylko była na ziemi i wszystkich wypływających z niej zagadnień społecznych, a więc i »kwestyi kobiecej«. Pierwotnie kiedy w walce o byt zwyciężyła tylko siła fizyczna — mężczyzna panował nad kobietą, przewagą fizyczną, jak czynił niewolnikiem swoim zwyciężonego w boju wroga — jak panował później nad rolnikiem i kupcem, wzmocniwszy siłę swoją fizyczną siłą oręża i przywileju. Ze zmianą warunków społecznego życia — z rozwojem umysłu ludzkiego, który zapanował nad siłą pięści — niewola fizyczna w znacznej części znikła z powierzchni ziemi, a raczej przeobraziła się w niewolę ekonomiczną. Ci, w których ręku były środki produkcyi i zyski z niej, zapanowali nad pracą, którą opłacali według swojej woli i uznania, oraz według siły tych nad którymi panowali. Ponieważ kobieta najsłabszą była z pracujących, zależność jej materyalna stała się stokroć cięższą — stokroć beznadziejniejszą niż innych niewolników ekonomicznych — i to nie tylko w tej klasie, w której nie pracując wytwórczo, jest niejako na łasce utrzymującego jej mężczyzny — ale i tam gdzie stając do pracy obok mężczyzny, bierze za równą pracę mniejszą zapłatę dlatego wyłącznie i jednie, że jest kobietą. Na tej samej zasadzie mąż jej ma prawo do jej pracy i do jej zarobku — a to, że oprócz pracy tej musi rodzić i chować dzieci — musi oprać, obszyć i nakarmić rodzinę; to liczy jej się nie za zasługę, ale za słabość i niższość jej przyrodzoną. Kobieta robotnica podwójnie dźwiga więzy — jedne wspólne ze wszystkiemi najmitami — drugie wyłącznie na płci jej ciążące — to też »kwestya kobieca« istnieje tak samo w klasie robotniczej jak w klasach uprzywilejowanych — i jedyne jej rozwięzanie w zupełnem uniezależnieniu kobiety pod względem ekonomicznym od mężczyzny. Dopóki ojciec rodziny będzie choćby tylko teoretycznie jej bez-

pośrednim chlebodawcą dopóty nie ma mowy o wyzwoleniu kobiety, bo będzie ona zawsze niewolnicą mniej lub więcej zależną od swego żywiciela, choćby praca jej — swoim pożytkiem czy wydatnością, znacznie przewyższyła jej osobiste potrzeby.

Teorya, że kobieta nie jest stworzoną do pracy, tylko do rodzenia dzieci, jest frazesem, który z życiem nie ma i nigdy nie miał nic wspólnego. Posłuchajmy co o życiu kobiety pierwotnej, której płodność mimo tych różnorodnych zajęć, z niesłychana szybkością pomnażała rodzaj ludzki, opowiada Otis T. Mason, Kurator Etnologicznego oddziału przy Muzeum Narodowem Stanów Zjednoczonych: *

»Przypatrzmy się kobiecie wśród dzikich przy jej codziennych zajęciach, aby zrozumieć rolę, jaka jej przypada na tym najniższym stopniu rozwoju kulturalnego. Za punkt wyjścia weźmiemy chwilę, w której mąż jej rzucił zabite zwierzę przy progu jaskini, lepianki lub namiotu. Ostrzy ona krzemień, którego używa w miejsce noża i staje się pierwszą nożowniczką, poprzedniczką Sheffild'a. Nożem tym ściąga bardzo starannie skórę ze zwierzęcia, stając się przez to Patronką przyszłych rzeźników. Potem zwija skórę, suszy ją, rozbija, obrabia narzędziami z kamieni i z kości, nieszczędząc trudu i potu — dopóki nie opanuje sztuki garbarskiej. Igłami z ości, nićmi z żył, przy pomocy krzemienia, którym posługuje się zamiast nożyczek, sporządza odzienie dla swego towarzysza, dla siebie i dzieci; nie ma szyldu nad drzwiami chaty, ale w niej mieszka już pierwszy krawiec. Ze skóry specyalnie obrobionej robi mokassiny na ochronę nóg swego męża, kiedy pójdzie na łowy lub na wojnę. Z odpadków futra i piór, z muszelek, kamyczków i różnorodnych ziarnek owocowych stroi lalki dla swoich dzieci. Większe okrawki pięknej skóry zeszywa jako stroik, którym przyozdobi swoją głowę, idąc strojna na najbliższe święto tańca, lub przypina we wzory na ścianach chaty. Jest jednocześnie przedstawicielką kilkunastu zawodów współczesnych, fabrykantką zabawek i modniarką, tapicerem i dekoratorką, krawczynią i szwaczką. Była zawsze nadto i jest dotąd kucharzem dla wszystkich, stara się zabezpieczać środki żywności od zepsucia i czuwać nad zdrowiem męża.

»Z kości zwierzęcia robi igły i ozdoby, z trawy, która rośnie koło jej chaty, plecie maty na podłogę, materace, kosze, torby, żagle. Jest matką wszystkich prządników, tkaczów, rymarzy etc. Wynajdując różnorodne sposoby plecenia i przyozdabiając swoją tkaninę od czasu do czasu kolorowem włókienkiem, stwarza sztukę stosowaną, od której pochodzą wszystkie artystyczne ozdoby — a w dalszym ciągu dzieła sztuki. A po tem wszystkiem przywiązuje rzemieniem do czoła kosz albo wór i idzie w pole pracować w pocie czoła, jako pierwsze zwierzę robocze, uginające karku pod jarzmem. Kiedy powraca obładowana żołędziami, korzeniami lub ziarnem, rozciera je w rodzaju moździerza, który

* Mason, Woman's share in primitive culture.

jest pierwotnym młynem. Kijem zaostrzonym i zahartowanym w ogniu wygrzebuje z ziemi pożywne korzonki, plewi chwasty, wyrastające między pożytecznemi roślinami i wykonywa wszystkie prace rolne i ogrodnicze. A jeżeli na żyznej równinie lub nad brzegiem rzeki nie znajdzie jaskini dogodnej na mieszkanie, lepi schronisko z darni lub skór zwierzęcych, jako pierwotny budowniczy. Jest rzeczą dowiedzioną, że wszystkie kształty i wszystkie ozdoby w garncarstwie, zawdzięczają swój początek kobiecie. W walce o byt, która przejawia się tak samo w rozlicznych zajęciach, jak między jednostkami i gatunkami, wojna nie pochłania wyłącznie mężczyzny.

»Stworzone przez kobietę sztuki rozwinęły się, podniosły i udoskonaliły przy współdziałaniu pracy męskiej. Jej stary kij do grzebania stał się pługiem, rzemień, utrzymujący na głowie jej ciężar, przeobraził się w pociąg kolejowy, jej łódź na statek parowy — jej żarna doprowadziły do dzisiejszych skomplikowanych młynów. Jej proste przyrządy do wygładzania skóry rozwinęły się w garbarnie i fabryki obuwia; jej wrzeciono i ramy tkackie rozrosły się do olbrzymich rozmiarów; jej zaostrzony patyczek i pędzel z włosów dały początak całym aparatom artystycznym rzeźbiarzy i malarzy.

»W pierwszej epoce sztuki, mowy, społecznego życia, religii, tworzą kobiety wytwórczą, pracowitą, zabiegliwą połowę społeczeństwa. Wszystkie pożyteczne zajęcia dzisiejsze były niegdyś wyłącznem polem działalności kobiecej; kobieta może śmiało uchodzić jako pionierka, wynalazczyni i twórczyni wszystkich rzemiosł«.

Nawet przyrządzanie alkoholów jest najprawdopodobniej wynalazkiem kobiet; odrzuciwszy bowiem nawet przypuszczalne wytłómaczenie hebrajskiego mytu jako wydobycie przez kobietę z jabłka upajającego napoju, zupełnie stanawczo już wskazuje północna legenda na kobietę, jako wynalazczynię piwa*.

Znakomity badacz angielski, Havelock Ellis, w dziele swojem: »Mężczyzna i kobieta«, uzupełnia te szczegóły uwagą:

»Macierzyństwo, ze wszystkiemi powiązanemi z niem zadaniami, nie zostawiało kobiecie czasu na wyspecyalizowanie wynalezionych przez nią zawodów. Zadanie to podjął mężczyzna w chwilach wolnych od wojny i polowania — rozwinął i wyspecyalizował do najwyższego stopnia jej pracę« — przypisując sobie jednocześnie największą zasługę twórczości i inicyatywy w tych wszystkich zawodach.

Pozostawiając do rozstrzygnięcia dalszym wiekom, o ile twórczość umysłu męskiego jest różną od twórczości umysłu kobiecego, jeżeli im dany jednakowe warunki rozwoju, stoimy dziś w pierwszym rzędzie wobec pytania: »w czem tkwi źródło kwestyi kobiecej, takiej, jaką ona się dziś przedstawia?« Odpowiedź na to pytanie brzmieć musi bez żadnego wahania i wątpliwości: w zależności ekonomicznej kobiety od mężczyzny.

* »Magic song sof the Fins«. Folk-Lore. Marzec 1892.

A więc: w interesie swoim własnym, dla wzmożenia swojej swobody, swojej indywidualności, swojej woli, dążyć powinna kobieta, jako jednostka, przedewszystkiem do zdobycia niezależności ekonomicznej. Społeczeństwo w interesie swoim, to jest gatunku, którego kobieta jest odnowicielką, powinno tak unormować warunki jej pracy, aby zdobywając tę niezależność (konieczną do pełnego rozwoju jej istoty, zarówno ze względu na dobro osobiste, jak i pożytek potomstwa) nie potrzebowała zadawać gwałtu instynktom swoim — lub poszedłszy za ich głosem, nie strawiała się w nadmiernej pracy, patrząc z dnia na dzień, jak mimo nadludzkich jej wysiłków, giną marniejąc fizycznie i moralnie istoty, którym dała życie. Tylko wolna, silna i zdrowa kobieta, może odrodzić ludzkość i wyleczyć ją z tej ciężkiej melancholii, jaką jest niewola. Dla dzieci niewolnicy niedoścignioną marą jest wolność, bo z krwi i mleka jej wszystkie cechy niewolnictwa przeniknęły w nie aż do szpiku kości. *Marya Turzyma.*

SZKOŁA WYDZIAŁOWA, LICEUM, CZY GIMNAZYUM ŻEŃSKIE?

Przed paru tygodniami obiegła prasę krakowską i lwowską notatka, że w Krakowie na miejsce obecnej szkoły wydziałowej powstać ma t. zw. liceum żeńskie. Notatka ta, będąca według wszelkiego prawdopodobieństwa jakimś półurzędowym komunikatem, ponieważ pod względem treści a nawet i formy była we wszystkich pismach jednobrzmiąca, zawierała również jednobrzmiącą fałszywą informacyę. A mianowicie ogłoszono ni mniej ni więcej, tylko tyle, że kończące 6-klasowe liceum bez matematyki, fizyki, łaciny i greki, 16-letnie dziewczęta, mieć będą te same prawa, co kończące gimnazya żeńskie maturzystki, a zatem między innemi i prawo wstępu na uniwersytety.

W opinii publicznej powstał zamęt, najbardziej oburzoną była młodzież męska za swoje pokrzywdzenie wobec niewiast, a jako, iż w czasach ostatnich złożyła ona dowody swej krewkości, z obawy przed nowemi i to nierycerskiemi, bo przeciw płci »słabszej« skierowanemi, manifestacyami, postarano się co rychlej o pomieszczenie w pismach sprostowania, że liceantkom nie przysługują te same prawa co maturzystom gimnazyalnym, t. j. że mogą one wprawdzie uczęszczać do uniwersytetu, ale jedynie jako nadzwyczajne słuchaczki i to tylko na niektóre przedmioty. Ci, co o tem wiedzieli, znaleźli potwierdzenie swoich wiadomości, ale u innych powstał po tem zaprzeczeniu większy zamęt, który się spotęgował jeszcze bardziej, gdy się pojawił nowy komunikat, że owe tak zachwalane przed dwoma tygodniami licea, nie tylko nie są lepsze od obecnej szkoły wydziałowej, ale nawet gorsze i że wobec tego wszystko w Krakowie zostanie po dawnemu.

Pragnęlibyśmy choć trochę rzecz tę wyjaśnić.

Od lat 15—20 słychać powszechne narzekanie, że kobieta w Austryi nie posiada wcale publicznej szkoły średniej. Kogo nie stać było na opłacanie kosztownych pensyj prywatnych, świeckich lub klasztornych, musiał pogodzić się z faktem, że córki jego wykształcenie swoje na ludowej szkole kończyć musiały, t. j. poprzestać na nauczeniu się czytać, pisać i czterech działań arytmetycznych.

Jednakże nawet najmniej wymagającym rodzicom nie wystarczało już to absolutnie. To też oddawano córki do seminaryów, bo to były jedyne publiczne szkoły wyższe dla dziewcząt. I wytwarzało się z jednej strony przepełnienie seminaryów przez uczennice, nie mające żadnego zamiaru poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu i zabierało miejsce istotnym kandydatkom, a z drugiej strony zamiast wykształcenia ogólnego, dawano dziewczętom wykształcenie fachowe, boć przecie zawód nauczycielski jest zawodem jak każdy inny, zupełnie specyalnego wykształcenia wymagającym.

Narzekania się wzmagały. Władze nasze zaczęły narzekaniom tym dawać posłuch. I oto równocześnie we Lwowie i Wiedniu zaczęto myśleć o stworzeniu szkoły dla dziewcząt o typie wyższym od dotychczasowych szkół ludowych. I stworzono z jednej strony typ 6-klasowej szkoły wydziałowej, autor p. Bobrzyński, z drugiej 6-klasowe liceum żeńskie, autor p. minister Hartl.

Obydwaj ci reformatorzy stali na zupełnie jednakowem stanowisku i działali z jednakich pobudek. Obydwaj uważali kobietę za specyalny p o d d z i a ł gatunku ludzkiego (weibliche Eigenart), wymagający specyalnego typu szkoły, obydwaj chcieli również złożyć dowód. że liczą się z wymaganiami czasu.

I dziwnie zgodnie plany swoje opracowali, stwarzając zamiast szkoły średniej, dwa typy szkół mniej więcej równych co do zakresu nauki, cokolwiek tylko odmiennych co do programu, ale nie dających ani praw ani przygotowania do dalszego kształcenia. Zwolennicy p. Bobrzyńskiego zajęli się odtąd popieraniem szkoły wydziałowej, jego zaś przeciwnicy, dla dokuczenia mu, wychwalaniem liceów. Dla kobiet wszakże, jedynie w tem interesowanych, obie szkoły pozostawiły kwestyę szkoły średniej otwartą, załatwiły ją tylko połowicznie, jakby dla chwilowego zaspokojenia »kaprysu dziecka«, którego pozbyć się trzeba, żeby nie nudziło, ale z którego wymaganiami liczyć się nie należy.

Ponieważ obydwaj autorzy tych nowych żeńskich szkół »wyższych«, jak je szumnie nazwano, a nie będących, jak to widać z obydwóch planów naukowych, nawet szkołami »średniemi«, słusznie przypuszczali, że ta p o ł ó w k a, dana zamiast c a ł o ś c i, żądań kobiecych nie zadowolni, postarali się o trochę przywilejów w postaci pewnych rozporządzeń.

Oto p. Bobrzyński wydaje rozporządzenie z d. 25/4 1900 l. 9536, na mocy którego uczennice, kończące 6, a nawet 5-klasowe szkoły wydziałowe, mają prawo ubiegać się o prawo praktyki w szkołach ludowych na równi z s e m i n a r z y s t k a m i i później zdawać egzamina kwalifikacyjne, wydziałowe i t. d.,

tak jak maturzystki seminaryjne; p. minister Hartl, chcąc znowu swoje licea zachwalić, ocukrza je rozporządzeniem, na mocy którego 16-letnie, nieprzygotowane dzieci, mają prawo uczęszczać jako nadzwyczajne słuchaczki do uniwersytetu i później zdawać egzamina na licealne nauczycielki, nadając również prawo do tego i maturzystkom seminaryjnym.

Jak widzimy, jest tu pewne zrównanie praw seminaryum, szkoły wydziałowej i liceum żeńskiego.

Wspomniane rozporządzenie p. Bobrzyńskiego z d. 25/4 1900 r. zaprzecza do pewnego stopnia potrzebie fachowego kształcenia nauczycieli w seminaryach, a do tego samego zdąża ponieważ i rozporządzenie ministeryalne z dnia 11 grudnia 1900 roku. Boć jeżeli uczennica 5-klasowej szkoły wydziałowej może nauczać w szkole ludowej, widocznie lekceważyć można całe fachowe wykształcenie, jakie seminarya dają. Widać tutaj przeglądające z tych rozporządzeń przypuszczenie, że równie dobrym nauczycielem może być ogólnie wykształcony człowiek, jak i formułkami i rutyną naszpikowany zawodowiec. Tak, o ile mi się zdaje, sądzili zarówno p. Bobrzyński, jak i p. minister Hartl. I co do tego być może, że mieli racyę. Nie roztrząsając bliżej tej kwestyi, podkreślam ją tylko. Obydwaj tylko stali na błędnem według mnie stanowisku, stawiając obecnemu nauczycielstwu ludowemu tak małe wymagania. Bo jeżeli suma wiadomości, nabytych w seminaryum, nie przewyższa może tak znów dalece tej sumy wiadomości, jakie daje liceum lub szkoła wydziałowa, to jednakże wobec pewnego zawodowego kierunku i specyalnego systemu nauczania oraz ćwiczeń praktycznych, wiadomości te z pewnością dadzą późniejszej nauczycielce większą pewność w działaniu niż liceantce lub uczenicy szkoły wydziałowej. Inaczej by się rzecz miała, gdyby szło o osoby, mające gimnazyalne wykształcenie, bo tutaj suma ogólnego wykształcenia równoważy poniekąd brak wiedzy fachowej.

Powstało tedy dzisiaj po tych reformach: 1) niezadowolenie tych kobiet, które się tem połowicznem załatwieniem sprawy zadowolnić nie chcą i koniecznie żądają publicznej szkoły średniej, dającej przygotowanie i prawa do fachowych dalszych studyów; 2-o niezadowolenie tych kobiet, które kończąc seminarya i napracowawszy się nad maturą, ujrzały się zrównanemi w prawach z uczennicami 6, a nawet 5-klasowej szkoły wydziałowej; 3-o zamęt w opinii publicznej, która dziś sama nie wie, czy która z tych zachwalanych i ganionych (zależnie od sympatyi dla autorów) szkół jest coś warta i do której córki posyłać się powinno.

Mojem zdaniem, a sądzę, że nie będzie ono odosobnione, zamęt ten trwać będzie póty, póki nie zostanie w Austryi zreformowaną męska szkoła średnia i dopóki szkoła ta nie będzie uprzystępnioną dla kobiet zarówno jak dla mężczyzn.

Gimnazya nasze, zarówno klasyczne jak i realne, wymagają koniecznej reformy. Nie mówiąc o tem, że cały system jest w nich jeszcze na średniowiecznym scholastycyzmie ugruntowany, zawierają one w programie tyle balastu, sprowadzającego fizyczne i moralne wyczerpanie młodzieży gimnazyalnej, że nam

matkom wprost nie wolno biernie się dalej zachowywać. Powinnyśmy energicznie żądać reformy szkół średnich, żądać zaprowadzenia szkoły jednolitej bez greki i do nowoczesnych wymagań przystosowanej. Żądać winnyśmy dalej, aby taka zreformowana szkoła była zarówno dla chłopców jak i dla dziewcząt, jednako, dostępną.

Dyskutować zaś o to, czy kobiety mogą z jednakich szkół co i mężczyźni korzystać, uważam już dziś za zbyteczne wobec dowodów, że nawet dzisiejsze, wprost zabójcze dla zdrowia i umysłu gimnazyalne programy, kobiety nawet w krótszym niż chłopcy czasie zgryść potrafią*.

A co do traktowania kobiet jako »dzieci«, które zadowolnić można drobnemi ustępstwami, zastrzegam się (a zastrzeżenie to jak sądzę, będzie wyrazem wszystkich kobiet) jak najenergiczniej. Nie dawajcie nam połówek zamiast całości, bo to nie prowadzi do celu, a wywołuje tylko zamęt, przewlekanie sprawy i niepotrzebne rozgoryczenie. My nie wszystkie jesteśmy rozkapryszonemi dziećmi lub choremi histeryczkami, na jakich swój sąd o kobietach wytworzyć sobie musieli nasi ustawodawcy, ogół kobiet w i e c z e g o ż ą d a i paljatywem w postaci szkoły wydziałowej lub liceum nie pozwoli się zaspokoić, bo im idzie o możność nabycia rzeczywistego wykształcenia średniego a nie wiedzy stosowanej do »mieszczańskich potrzeb«.

Na tem należałoby może skończyć te uwagi, ale nie mogę się powstrzymać, żeby odpowiednio nie oświetlić i nie napiętnować nowego dowodu konsekwencyi i dbałości o nasze losy wśród naszych męskich opiekunów i przyjaciół.

W owych nowych liceach, w których ma być położony specyalny nacisk na to, żeby kobieta obok zdobycia pewnych pewnych wiadomości »dla kobiet właściwych«, nabywała »p r a w d z i w e j k o b i e c o ś c i« (echte Weiblichkeit), nauczanie ma być prowadzonem w połowie przez siły kobiece, a w połowie przez mężczyzn. Czyżby sądzono, że mężczyźni-nauczyciele są konieczni, aby ową »prawdziwą kobiecość« rozwinąć w kobiecie? W imię jakiej zasady uczyniono to zastrzeżenie i odebrano kobietom z wykształceniem uniwersyteckiem możność zarobkowania nawet w szkołach żeńskich? Prosimy tylko o rozpisanie konkursów, a z pewnością znajdzie się już dzisiaj nadmiar kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem, które znakomicie odpowiedziałyby zadaniu. Dlaczego odwrotnie nie zaproponowano kobietom, posiadającym doktorskie dyplomy uniwersyteckie, objęcia suplentur w gimnazyach męskich, a w braku sił odpowiednich powierzono te posady dwu, a nieraz jednorocznym słuchaczom filozofii? W tym ostatnim fakcie tkwi odpowiedź. Panom sytuacyi nie łatwo jest zrzec się przywilejów, niech jednak nie zapominają oni tej prawdy, że kto się dobrowolnie przywileju zrzec nie chce — temu on drogą walki odebranym zostać musi.

K. Bujwidowa.

* W gimnazyum żeńskiem krakowskiem nauka trwa lat 5 od 13 do 18 roku życia.

STRÓJ ROBOCZY.

Na suknię kobiecą, ten przedmiot cichych westchnień a głośnego urągania i złośliwych docinków, spadł ostatniemi laty w Austryi zaszczyt nie lada: stała się przedmiotem publicznej dyskusyi.

Pierwsi poruszyli tę sprawę c. k. inspektorzy fabryczni w dorocznem sprawozdaniu ze swojej urzędowej czynności*. Wskazując na strój kobiecy, jako na przyczynę wielu nieszczęśliwych przy robocie wypadków, zażądali usunięcia kobiet z zajęć przy maszynach, transmisyach, z tych warsztatów i fabryk, gdzie zawadzenie brzegiem sukni lub fartuszka o narzędzia pracy bezpieczeństwu życia i zdrowiu pracujących zagraża (§ 94, al. 4 ust. przem.).

Na wniosek ten odpowiedzieli oficyalni przedstawiciele sfer przemysłowych gradem zjadliwych wymówek, skierowanych w stronę centralnego inspektora fabrycznego Mühla. Obwiniono go o niechęć dla pracujących kobiet, dla przemysłu, zagrożono widmem bankructwa, emigracyi kapitałów za granicę — i cisza nastała.

Wśród szerszej publiczności kwestya stroju robotnicy wcale zajęcia nie obudziła. Tak czy inaczej — robotnice fabryczne zawsze tylko »źle« będą ubrane, więc w sprawie tak błahej, ci co robią »opinię«, wcale głosu zabrać nie zapragnęli.

Sprawa więc ucichła — lecz nie upadła, a podniosły ją teraz kobiety same, kobiety ze sfer mieszczańskich doprowadzone tym samym biegiem wypadków, co kobietę-proletaryuszkę przerzucił z domu do fabryki, do samodzielnej pracy zawodowej. Bojowniczki o prawa kobiety, grupujące się koło wiedeńskiego dwutygodnika »Dokumente der Frau«, dając wyraz żądaniom, które się w tych kołach dawno już pojawiły, zwróciły się do lekarzy i artystów z zapytaniem, w jaki sposób to zło, jakim jest obecny strój kobiecy i gorset, ulepszyć i uszlachetnić.

Rezultat ankiety był czysto negatywnej natury. Suknię modną raz jeszcze brzydką nazwano a gorset — szkodliwym, lecz i lekarze założyli w smutnej rezygnacyi ręce i artyści, ci władcy despoci, ulękli się walki, i architekci nawet, ci śmiałkowie, co zrywając z prastarym szablonem, burzą domostwa nasze, by na gruzach ich dać nam dom mieszkalny nowego typu, stchórzyli — gdy przyszło im dać stanowczą radę — co do nowej sukni kobiecej.

Strój kobiecy nie był dotychczas wyrazem kobiecych potrzeb. Zajęcia gospodarskie, którym się w zamożniejszych zwłaszcza warstwach ludności kobiety wyłącznie oddawały, kryły ją przy pracy oczom ludzi obcych. Strój też, w którym się zajęciom tym oddają, uznają same za nieodpowiedni przy zetknięciu się z światem zewnętrznym i przed gościem, który w rannych godzinach w próg

* Bericht der k. k. Gewerbe-Inspektoren über ihre Amtsthätigkeit im Jahre 1899.

się odważy zapukać, uciekają zwykle spłoszone »nieubrane« panie domu. W występach publicznych przypadała zaś kobiecie bierna rola »podobania się«, którą jej strój ułatwiał. Te zatem kobiety, które najwięcej czasu i pieniędzy na obmyślenie stroju swojego poświęcić mogły, które »podobanie się« zawodowo uprawiały, te kobiety modę stanowiły.

Zmysłowość zaś nadawała kierunek. Belletrystyka lat 70-tych i 80-tych zarówno niemiecka jak i francuska wielbi kobietę o wybujałych kształtach i każe jej fizyczną wprost siłą ujarzmiać mężczyznę i nad zmysłami jego panować (Sacher-Masoch, Catulle Mendes, Armand Silvestre). Stosownie do tego, lubował się strój tej epoki w krągłych, falistych liniach, uwydatniał kształty, a nawet stwarzał, dodawał ciała (tiurniura!). W tem nastąpiła reakcya — w grze zmysłów inna zadźwięczała nuta. Dziewczę zwyciężyło kobietę urokiem swych szczupłych kształtów. Mała główka na wązkiej długiej szyjce w ekstazę wprawiała poetów i malarzy. I zaraz moda pospieszyła tę zmianę w tonacyi zaznaczyć wysokim obcisłym kołnierzykiem i sztucznem przedłużeniem ramienia, by twarz zmniejszyć bliskością szerokich pleców. Kobieta-zalotnica dawała hasło, a reszta kobiet bałwochwalczo się do jej rozkazów stosowała. Tylko w najwyższych sferach towarzyskich, tam, gdzie kobieta dumna starożytnością rodu nie łatwo ugnie czoła przed kurtyzaną, zauważyć się daje pewne lekceważenie wymagań mody — tam »tailor mode costume« strój, materyałem, barwą i wykończeniem najwięcej do męskiego zbliżony, najwięcej też bywa noszonym.

Dawnej kulturze obcą była ta ogromna różnica między strojem mężczyzny a kobiety, jaką dzisiaj widzimy. W czasach, gdy zarobkowa praca była u szlachetnie urodzonych w pogardzie, nosili »wolni« mężczyźni długie i fałdziste szaty — a słudzy ich krótką i obcisłą odzież — spodnie. Po dziś dzień duchowny długą swą sutanną zaznacza, iż praca jego z zarobkiem i fizycznym znojem nic nie ma wspólnego. Barwne stroje, którymi się magnaci zdobią w dnie galowe i fiolety duchownych dygnitarzy wywołują zdaleka złudzenie kobiecego stroju. Ubiór męski zachował tutaj z umysłu dawny strój i barwę, bo ci co go noszą, ciągłość wieków, stałość i jednolitość stosunków społecznych zaznaczyć nim pragną.

Mężczyźni zdobyli sobie już na całej linii prawo do pracy. Niema zawodów rezerwowanych tylko dla małej garstki dobrze urodzonych, niema różnic w strojach i strojów pysznych lenistwem, któremu służą.

I dla kobiety, która dotychczas chodziła w ciężkiem jarzmie fizycznej pracy, albo też jeden czyn tylko znała, strojenie się według zachcianki męskich zmysłów, nadszedł czas upomnienia się o rozszerzenie swego prawa do pracy. Kobieta-lekarz, adwokat, a nawet technik, nie są już rzadkością. Z domowego zacisza, tak zwanego zdaje się dla trosk i mozołów, które przygłuszały w kobiecie-gospodyni możność chwytania odgłosów życia i walk toczących się poza jej domem, wyszła zbrojną w poczucie siły i godności własnej, by zająć w społe-

czeństwie stanowisko odpowiedne pracy, zdolnościom i tęsknotom swoim. A wyszła — w odzieniu do pracy nieodpowiedniem, bo niezrodzonem w tej pracy, której się teraz oddać zamierza. Ztąd też walka przeciw gorsetom, co szybkie zmęczenie się pracą wywołują, przeciw długim spodnicom, przeciw tym barwom i tym powiewnym tkaninom, co strojnej w nie kobiecie wygląd to kwiatka, to motyla nadają. Ona dawno już sam miód z życia wysysać przestała i nie tylko krasną swą urodą przyciągając serca, zdobywać stanowisko w społeczeństwie pragnie. Strój jej — to spuścizna, którą nosić coraz ciężej — ale i porzucić, zastąpić innym trudno — bo złożyła się nań kultura wielu wieków. Zwołuje więc ankiety i pyta, w co się odziać, jak odzienie nosić — by w odpowiedzi usłyszeć, że nikt się do dania stanowczej odpowiedzi powołanym nie czuje, że dopiero zupełne zżycie się z nowymi warunkami bytu, może dać nowoczesnej kobiecie strój nowy, łączący potrzebę piękna kulturnie rozwiniętego człowieka z wymaganiami pracy uspołecznionej, społeczne obowiązki pełniącej jednostki.

Na razie — rysuje się przed nami dopiero droga, po której do rozwiązania problematu dojść będzie można. Hasło: »Precz z kłamstwem«, które zwyciężyło w modnej architekturze i bojowniczkom za sprawę kobiecą — a one to kwestyę odzienia pod dyskusyę publiczną oddały, niejedną usługę oddać może (Prof. Roller). Precz zatem z rozmyślnem fałszowaniem form kobiecego ciała, precz z guzikami, które nie zapinają, sprzączkami, klamrami, które nie spajają, kokardami, szarfami, co nie wiążą, wierzchnimi rękawami, pod którymi nie ma innych. Fałszywa spódnica, fałszywy obrąbek, fałszywy rękaw — pełno tych fałszów prezentuje kobieta z naiwną minką światu, a ukrywa zato jaknajstaranniej wszelkie istotne części ubrania, jakby wstydem było, iż haftki, nie zaś nadziemskie moce, spajają brzegi stanika, że chustka i portmonetka, o ile rąk obarczać nie mają, wymagają specyalnie w tym celu uszytej kieszeni.

Czy kobieta w przyszłości zastosuje się do wymagań lekarzy, żądających, by suknia zawieszoną była u ramion (toga, suknia »empire«), nie zaś w pasie, gdzie wiązadła wywierają ucisk na organa trawienia, czy przekładać będzie miękie barwne tkaniny nad cięźkie sukienne wyroby, o jednostajności barw, cechującej strój męski, czy strój swój obecny »ulepszy« tylko, czy zupełnie zmieni — trudno przewidzieć, trudno teraz już na pewno orzec. Nic tu ankiety, obce rady i uchwały nie pomogą. Nie zależna w życiu, sama o sobie stanowić będzie, a na wybór jej wpłynie jedynie zrozumienie własnych potrzeb, nie zaś uległość cudzym gustom — lub zmysłom. *Helena Ławska.*

KRONIKA.

Z doli najsłabszych. Anormalne społeczeństwa dzisiejsze żyją pod starem hasłem barbarzyńców: biada słabym! Hasło to dźwięczy jak zagłada nad olbrzymiem targowiskiem pracy, gdzie do najsłabszych, a więc i najbardziej wyzyskiwanych, należą kobiety i dzieci. Gdy w salonach naszych wciąż jeszcze sypią się plewy frazesów na temat »emancypacyi« i »wyzwolenia« kobiety, gdy syty filister ciska gromy świętego oburzenia na głowy tych, co czynem, lub choćby słowem, zrywają z tradycyami owych błogich czasów, kiedy niewiasta »w domu siedziała, kądziel przędła« — tam w dole, wśród szarej mrówczej masy, gdzie niema »panów«, szukających nastroju, i secesyjnie uczesanych »pań«, nie istnieje też i tak zwana »kwestya kobieca«. Nie istnieje, bo rozstrzygnęła ją kobieta sama, stając do pracy obok mężczyzny. Dziś spotykamy się z nią wszędzie: w fabrykach, hutach, kopalniach... Warto przyjrzeć się, w jakich warunkach najczęściej pracuje ta, której »postaci zazdroszczą anieli«... Oto urocza górska miejscowość Thale. Ze wszystkich stron spieszą tu chorzy i rekonwalescenci, by krzepić piersi wonią sosnowych lasów i rzeźwiącym powiewem z gór hercyńskich. A przecież tu właśnie widzimy tyle wynędzniałych postaci kobiecych, zestarzałych przedwcześnie, o zapadłych policzkach, oczach bez blasku i ziemistej cerze. To właśnie robotnice z wielkiej fabryki wyrobów emaliowanych. Istnieją tam trzy rodzaje pracy: przygotowywanie naczyń blaszanych do emaliowania, samo emaliowanie i wreszcie pudrowanie. Najbardziej zabójczem dla zdrowia jest praca pierwszej grupy robotnic. Zanurzają one naczynia blaszane w rozcieńczonym kwasie solnym, poczem następuje wypalanie. Gdy już w ten sposób blacha została odtłuszczona, naczynia przechodzą do emalierek. Praca trwa jedenaście godzin na dobę. Przez jedenaście długich godzin pierwsza grupa robotnic oddycha ostrymi wyziewami. Ochraniają one suknie swoje, kładąc na nie grube worki, ale nie mogą niczem zabezpieczyć organów oddychania, twarzy i rąk. A te ręce! Są one poprostu zżarte przez kwas i w okropny sposób popękane. Brzegi tych pęknięć twardnieją tak, że żadne pielęgnowanie rąk, żadne smarowania nie pomagają. A płaca? Płaca wynosi dziennie 1 mk. 40 fenigów (koło 85 centów).

Jak tu wyżyć, szczególniej wobec drożyzny, panującej w Thale, prawdopodobnie z powodu napływu kuracyuszów. Tak, jedenaście godzin pracy, zabójcza atmosfera, a w domu nędzna licha strawa, często głód... Praca emalierek też do zdrowych nie należy. Muszą one przygotowane już naczynia zanurzać w emalii i poruszać niemi tak długo, póki emalia nie ułoży się wszędzie jednakową warstwą. O ile chodzi o naczynia mniejszych rozmiarów, praca nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku i nie jest tak bardzo szkodliwą dla zdrowia. Gdy jednak robotnice przez cały dzień mają do czynienia z dużymi garnkami lub kubełkami, ogarnia je śmiertelne znużenie, ręce i nogi drętwieją, zjawia się dotkliwy ból krzyża i zaburzenia w organach kobiecych. Trzeba dodać, że nieszczęśliwe pracują na akord, że płaca od sztuki jest bardzo mała, a więc pracuje się z jaknajwiększem natężeniem, bez chwili wytchnienia, byle tylko zarobić jaknajwięcej. A jednak i przy nadludzkich wysiłkach zarobek nie przerasta 1 mk. 60 fen. Oto dlaczego wśród oddychającego zdrowiem i pogodą górskiego zakątku spotykamy te tragiczne, jak ich dola, postacie kobiece.

A praca dzieci? Z pojęciem dziecka łączy się zawsze coś, co jest słońcem, śmiechem, ruchem, wrzawą i weselem. Dość jednak zajrzeć do statystyki, by przekonac się, że dzieci, którym wolno być dziećmi, należą do wybranych. Praca dzieci ma dziś ogromne rozmiary. Cyfry, zebrane w roku 1898, mówią, że w Niemczech pracuje prawie pół miliona dzieci niżej lat 14! A więc: w przemyśle 306.823, w handlu 17.623, w ruchu komunikacyjnym 2.691, po gospodach i wy-

szynkach 21.620, w służbie do roznoszenia 135.830, na posyłkach 35.909, w różnych przedsiębiorstwach 11.787. Statystyka wykazała, że w wielkich miastach i na przedmieściach pracuje przeciętnie $12—14\frac{1}{2}\%$ dzieci. W obwodach przemysłowych, po wsiach fabrycznych, tam, gdzie kwitnie przemysł domowy, na 100 dzieci w wieku szkolnym pracuje 80. Jednakże wszystkie te cyfry nie mogą nam dać całkowitego obrazu pracy dzieci. Nie wiemy nic o stosunkach na wsi, ani też o domowej pracy nieletnich. Prawo zabrania przyjmowania dzieci do fabryk przed ukończeniem lat czternastu. Ale prawo istnieje po to, aby je omijać, szczególniej, gdy w grę wchodzi interes fabrykanta. Ten oczywiście stara się wszelkiemi siłami, by produkować jaknajwięcej i jaknajtaniej. Najtańszy robotnik — to dziecko. Przyjąć go wprawdzie do fabryki nie wolno, ale przecież starsi zawsze mogą »zabrać robotę do domu«. Tego systemu trzymają się fabryki zabawek, lalek, szczotek, cygar i t. p. W domu nikt nie kontroluje dziecka i jego pracy, a prawu staje się zadość, bo mały warsztat w domu, to przecież nie fabryka. Nędza pcha rodziców do unieszczęśliwiania dzieci i obniżania własnych zarobków. Jeżeli ojciec rodziny nie może jej ze swej krwawej pracy utrzymać, wówczas przychodzi kolej na matkę i dziecko. Mały robotnik obniża cenę produkcyi! Tam, gdzie istnieje przemysł domowy, jak naprzykład w Saksonii i Turyngii, daje się to najwięcej uczuć. Teraz, wobec przesilenia ekonomicznego, wzrośnie jeszcze wyzysk pracy dzieci. Najgorzej dzieje się na wsi. Do kopania kartofli, buraków i t. p. robót uwalniają dzieci ze szkoły, byle junkrom dogodzić. Tu dziecko w całem tego słowa znaczeniu c i ę ż k o pracuje. Wyzyskiwanie dzieci, ich sił i zdrowia podczas żniw jest poprostu straszne. Nic dziwnego. W państwie, gdzie nauka prowadzi się pod hasłem bata, nie może być mowy o ochronie zdrowia i życia małych pracowników. Hr. Posadowsky wnosi projekt prawa, które już 12-letnim dzieciom pozwalałoby pracować po cztery godziny dziennie. O służbie prywatnej i pracy na roli prawo nie wspomina wcale.

Tak, biada słabym! biada słabym, jeżeli nie pomyślą o samoobronie, o organizacyi zawodowej. Kobiety przedewszystkiem powinny się starać o takie warunki pracy, któreby nie niszczyły przedwcześnie ich organizmu i nie zabijały potomstwa. Dowiedzionem jest, że śmiertelność wśród dzieci wzrasta w miarę wzrostu pozadomowej pracy matek. Anglik dr. Reid zebrał ciekawe cyfry co do tego stosunku. Statystyka obejmuje miasta w Staffordshire, jednej z najbardziej przemysłowych miejscowości w Anglii.

Kobiet pracuje poza domem:

Liczba mieszkańców miasta podług spisu z roku 1901:

wiele	mniej	nie pracują prawie wcale
147.281	198.955	182.864

Dzieci niżej roku umierało na 1000 urodzeń:

od 1881 do 1890	195	166	152
od 1891 do 1900	211	177	167*

W ostatnim lat dziesiątku śmiertelność wśród niemowląt wzrosła. Wszędzie powtarza się to samo zjawisko: im więcej kobiet musi szukać pracy poza domem, tem większa śmiertelność wśród dzieci. Trudno sobie wyobrazić, by takie na przykład robotnice z fabryki emalii, mogły rodzić normalne, zdrowe i silne dzieci. Niema więc »kwestyi kobiecej«, ale jest kwestya usunięcia wyzysku i tych warunków pracy, które zabijają matkę i dziecko. *Marya Markowska.*

* Wszystko to, co Szan. Autorka przytoczyła, stwierdza istnienie »kwestyi kobiecej« w sferze robotniczej — i to bardzo palącej. Zwracamy uwagę, że wzrost śmiertelności dzieci na tych cyfrach wykazuje 16 na 1000 u przeciążonych pracą, 15 u niepracujących wcale, a 11 u pracujących w miarę; więc próżniactwo matek widocznie równie nie sprzyja dzieciom, jak i przeciążenie ich pracą. *(Przyp. Red.)*

Z POEZYI EWANGELICZNYCH.

»KTÓRY SIEJE, SŁOWO SIEJE«.

A kiedy wzeszła jutrzenka czasu swego, stanął człek dobry na ziemi posępnej i dzikiej, aby ją pokrajał w skiby i napełnił ziarnem i owocem ku radości tych, którzy tu po nim przychodzić będą. A kiedy siał, jedno padło podle drogi i przylecieli ptacy niebiescy i wyzbierali ziarno.

A drugie padło na opokę, gdzie nie miało wiele ziemie, więc natychmiast wzeszło i mile zazieleniło skiby. Ale gdy nastało południe — zgorzało i uschło nie mając statecznego korzenia i legło przedwczesnym pokosem jako trawa na rozświcie dnia zżęta.

A inne, upadło w ciernie, które je przerosło i zadusiło i nie doczekało owocu.

A kiedy wyszedł siewca oglądać plony swoje, gorzko zapłakał i wyrzekał: Oto w co się obróciły nadzieje moje i pożądania. Przeminęły jako wiatr i obłok i jako marzenie nocne, które odnalezionem nie będzie. Nie ujrzy oko owocu złotego, ani nań patrzeć będą ścieżki dni moich. Córki i synowie tej ziemi starci upaleniem i ubóstwem cierpieć będą jako dawniej, a ręce ich umęczone oddadzą mi tylko boleść moję.

A gdy tak mówił ujrzał zbliżającą się rzeszę niewiast i dzieci.

Dzieci unosiły nad głowami rozkwitłe drzew gałązki, a pszczoły zwabione słodką wonią z brzękiem przelatywały powietrze. Białe i złote motyle odpoczywały w drodze wieszając się na kwieciu.

Wszyscy radowali się wielce i śpiewali psalm czy dziękczynienie:

»Błogosławiony bądź, któryś tu przyszedł przed nami! Ścieżkiś nasze umaił palmami! Woń rozkwitłego granatu posiałeś drogom naszym! Wszyscy którzy pragnęli jedli ze sadów twoich, a owoc ich był słodszym nad wino z Hysperu i nad białe plastry miodu! Zdwoiłeś liczbę lat naszych! Błogosławiony bądź!«

»Padół był strachu pełen. Miedziane niebo gorzało nad nami a pod nogami ziemia była żelazna. Z sykiem wypełzały złe węże i kąsały nas i dzieci nasze. Proch z ziemi wstawał i szedł przeciwko nam, miasto ochłody dżdżu niebieskiego i padałyśmy w drodze półmartwe jako liście ziół uwiędłe i jako drzewa wykorzenione. Mądrość Twoja ocaliła nas i dzieci nasze — i dzieci dzieci naszych. Błogosławiony bądź«!

A to mówiąc pozdrawiały go rzesze idące, a pacholęta podbiegały i całowały ręce jego.

Ale człek ów pokręciwszy głową rzekł: Jakoż mam dać wiary słowom waszym? Alboż to co siałem nie przygłuszyły osty i ciernie? Nie rozdzióbałoż ptactwo żarłoczne? Nie zgorzałoż od plagi słonecznej? A mówiąc to zapłakał wspomniawszy nadzieje swoje.

Wtedy najbliższa z niewiast, młoda, złotowłosa dziewczyna pochyliła się do nóg strudzonego a obejmując je rzekła: »Ufaj Sprawiedliwy. Siejba Twoja, jako słowa. Jedne padły podle drogi. Widziały je oczy nie widząc. Słyszały je uszy nie słysząc. Głupcy nie rozumieli, a źli uczynili żer sobie z słów onych na szkodę twoją. Inne, padły na serca płomienne, gdzie były ze skwapliwością przyjęte, ale gdy ucisk przyszedł na słowa one, gdy je szyderstwem okryto, potwarzą splamiono, zaparto się ich i wyrzucono z serca.

A niejedne rozkwitły, ale przygłuszone ostem złych żądz, nie wydały spodziewanej mądrości.

Ale oto jak siałeś, padły niektóre i na dobrą ziemię i wydały kwiat i owoc, który opuszcza pędy na zapach wód wiosennych i wschodnich wiatrów granie, dojrzewa pod wielkim żarem pożądań słonecznych, a zbierany jest w gwiazdziste noce utęsknień wszechludzkich.

I oto ustając w drodze, piłyśmy krew rubinową jagód onych. I upiłyśmy się, bo była jako m ą d r o ś ć b o ż a i s i ł a n i e u s t a j ą c a. I ukochałyśmy dary jej ponad wszystkie dobra ziemskie. Nad młodość naszą i nad piękność, jako jasność dniową i nad jasność dniową — albowiem nigdy nie gaśnie...

I poszłyśmy jaśniejące pomiędzy mężów tej ziemi, którzy ujrzawszy białogłowy, poczęli złorzeczyć zdaleka, nazywając nas poniżeniem serc swoich, smutkiem oblicza i raną serdeczną. »Precz idźcie! oblubienice Zła, rzekli nam. Dość już kochaliśmy was. Ręce nam zemdlały, popiołem serce nasze i jesteśmy jako drzewa dwakroć pomarłe i na ognisko sposobne«. A ukrywszy twarze swoje, jęli śpiewać ponury hymn ginącemu światu. A w hymnie tym brzmiała rozpacz i trwoga i bluźnierstwo i cała orgia występku i zbrodni. I wtórować im poczęły de profundis wszystkie moce ciemne wielkim potępieńców chorałem.

A kiedy wstyd purpurowy usta nam zwarł milczeniem, dusze nasze za nas śpiewać zaczęły.

A był to pierwszy śpiew taki słyszany na ziemi. Drżał jako harfa psalmisty i unosił się otulony w pióra łabędzie aż pod szafirowe niebo i biały ma-

jaczący sierp księżycowy, po którym jakby przepływała postać niewieścia. Skrzydła miała orłowe a miesięczne stopy trzymała oparte na głowie smoka.

»Adonai!« śpiewały dusze nasze, »Suten!« wrzeszczały obłąkane ciemnością gwiazdy.

Słuchałyśmy słów, które miały nieść zbawienie potępieńcom onym. Słuchałyśmy...

A dusze nasze jak obłok ranny białemi dłoniami trzymając się błękitu pytały czy znają miłość? która w dzień upalny miasto zasłony wiejącej jest, a nocą wichrową miasto gwiazd światłości, która się w widzeniu objawia a dla kogo wzejdzie, napełnia serce jego niebieską nadzieją, wiarą i cichością.

I taką, co tchnieniem strąca błyskawice na ziemię, orłowe loty przypina oblubieńcom swoim i podnosi ich serca wysokością własną.

O onej, jedynej czyli wiedzą? której sceptr królowania przyznan jej po nad wszystkiem, co wszystko może, a w sobie trwając wszystko odnawia, co jest zwierciadłem bez skazy boskiego Majestatu i wyobrażeniem nieskończonej dobroci...

Tak śpiewały dusze nasze, a oni którzy umierać żądali, bowiem nie mieli co czcić na ziemi, rzekli nam:

»Błogosławione bądźcie, przeto iż mając znajomość złego i dobrego, mądrości dobrego dałyście urość w ogrodzie serc waszych. Usta wasze piły z winnic obiecanych. Ręce wasze, wiążąc żniwo na bojowisku, wpierw kąkól zebrawszy w ogień rzuciły.

Adela Bandrowska.

Kraków, w marcu 1902.



WANDA DALECKA.

NIEWIEŚCIE DUSZE.

FRAGMENT PSYCHOLOGICZNY.

Środa.

Moja Reniu droga, jedna jest tylko rzecz na świecie, prawdziwie święta, prawdziwie wielka, jedna dla której żyć warto: to miłość. Tyle tylko się żyje, ile się kocha. Miłości nigdy za dużo. To słońce naszego życia.

Jak tak lubiłam kąpać się w tem słońcu! Lubiłam kochać, lubiłam, aby mnie kochano. Nie wierz nigdy, dziecko moje, kiedy ci będą mówić, o rozsądku, o prawach towarzyskich, o prawdach naszego życia. Jedyne prawo, jedyna prawda — to uczucie. A miłość nad uczuciami wszystkiemi. Nie mówię tu koniecznie o miłości między mężczyzną i kobietą — wszelka inna miłość, tak samo jest świętością. Powinna tylko być wielką, aby jak wiara mogła przenosić góry. Gdzie w biblii są słowa: »gdyś kładł podwaliny świata, tam byłam« — to o miłości.

Ty także żyjesz miłością. Twoje głębokie serce umie kochać wiele. Wiem także, że kochasz swojego artystę. Spostrzegłam to wówczas, kiedy sama może jeszcze o tem nie wiedziałaś. W te dni, kiedy miał przyjść, stawałaś się niezwykle ożywioną, a zarazem i niespokojną. Raz poraz spoglądałaś na zegarek, a kiedy druga nadchodziła, żegnałaś mię pocałunkiem, wcale innym niż zwykle. Nie straciłaś ani chwili z tych posiedzeń, a potem przybiegałaś do mnie lekkim krokiem, pełna wewnętrznej jasności. To były jedyne moje miłe chwile, kiedy cię taką widziałam; myślałam wówczas: moja Renata do szczęścia idzie. A pamiętasz, biedaczko moja, jak pewnego razu przyszłaś smutna i uroczysta oznajmić mi, że portrety twoich siostrzyczek skończone? Powiedziałaś to takim głosem, jakbyś mówiła: moje szczęście skończone.

— Może nas kiedy odwiedzić, poproś go o to — powiedziałam, będąc przekonaną, że on najgorręcej cię kocha — jakżeby mógł znać cię i niepokochać?

Pochyliłaś się do moich rąk, może nie tylko po to, aby je ucałować na odejściu. Lecz, biedne dziecię, pierścionki twoich włosów nie były dość bujne, a uszko miałaś nazbyt szkarłatne...

Kochaj twojego malarza. Ach, wiem, stary hrabia będzie się dąsał; powiedzą ci, że robisz niestosowną partyę — nie wierz temu; ta najlepsza, w której najmocniej się kocha. Tylko wtedy jest szczęście, kiedy się kocha, i tylko wtedy jest cnota. Kto się raz sprzeniewierzy miłości — jakaby to była — wszystko jedno; kto się raz jej sprzeniewierzy, nieszczęście ściąga na siebie. Tylko brak miłości jest grzechem. Grzechem i karą zarazem.

Czwartek.

Potępiają człowieka, który głosi inaczej, a czyni inaczej. W tem niema słuszności. Takiego człowieka nie można potępić, ani pogardzać nim; żałować

go tylko należy. Kiedy słowa i uczynki są w rozterce, to właśnie serce jest z sobą w rozterce. A niema męki straszliwszej, jak rozterka serca i czynów. Przychodzi to nieraz niespostrzeżenie. Nieznacznymi czynami szliśmy ku temu; czasem nawet wcale nie widzimy, że stanęliśmy na rozdrożu; jeden krok naprzód i zwróciliśmy się w stronę przeciwną, i już nie wrócimy nigdy; pędzimy dalej po pochyłości, po strasznej pochyłości, coraz dalej od naszych przekonań, od naszych nawet instynktów serca. Spostrzeżemy to wtedy, gdy będzie już zapóźno. Takiego człowieka świat błotem obrzuca, i chętnieby ukamienował. A ja mówię, że jest on wówczas najnieszczęśliwszy z nieszczęśliwych, i ci wszyscy, co się na niego miotają, są o wiele nędzniejsi od niego, bo się znęcają nad męczennikiem.

Powiem ci szczerze: bardziej niż wszystko inne zamyka mi usta obawa, że może mi nie przebaczysz. Lecz skądinąd przedstawiam sobie, iżeś zanadto dobra, abyś na winy ludzkie wyrozumiałości nie miała. Myślę zatem, że może w swem miłosiernem sercu zdołasz wynaleźć jakiś promyk uniewinnienia, jakiś mdły chociaż pozór, co winę moją uczyniłby lżejszą. Ach, gdybym mogła spodziewać się, że mnie rozgrzeszysz. Nie dla tego, że wina moja nie jest okropną, lecz żeś tak bezgranicznie dobra i tkliwa. Dziecko moje, przebaczysz-że swej matce? Choć później — choć kiedyś?... O Reniu, Reniu, jaka ja bezbrzeżnie nieszczęśliwa...

I takem już słaba...

Sobota.

Czy myślisz, że morfina przynosi mi ukojenie? Nie; omamiam siebie, nic więcej. Bo gdy się zbudzę, myśli wracają stokroć straszniejsze. Te dwa dni, w których zażywałam więcej, nie przyniosły mi zapomnienia ani ulgi; o tyle lepiej, że czuję się znacznie słabszą, Obawiam się, czy będę miała dość czasu powiedzieć wszystko, co zamierzyłam. Nie będę zwlekała; stać się to musi. Jutro dasz mi znowu większą dozę. Jutro powiem.

Poniedziałek.

Więc powiem wszystko. Tak, jak było — prawdę, bez osłon i tłumaczeń się. A Ty mi, wielki Boże w niebiosach, dopomóż; przez mękę Ukrzyżowanego dopomóż prawdzie moich ust. Dziecię moje, zbierz wszystkie twe męstwo, usłyszysz spowiedź twojej matki:

Zaczynam.

Byłam bardzo młodą, kiedy mnie za mąż wydano. Nie miałam szczególnego uprzedzenia przeciw przyszłemu mężowi, ale go nie kochałam. Kochałam kogo innego. Ale ten inny nie mógł być moim; dobrze nie rozumiałam dlaczego, lecz rodzice oboje i nawet ciotka, którą nadewszystko kochałam, mówili, że połączyć się nie możemy. Nie był mnie godnym. Nie wiem — może, lecz wówczas mi się zdawało, że kto jest tak bardzo zakochany i jest tak piękny, złym być nie może, że nawet lepszym jest od tysiąca innych. Ale starsi mówili co innego. Płakałam dużo, tęskniłam nawet trochę, lecz wyjechał i jakoś to prze-

szło. Mój przyszły mąż miał być ideałem. Wychodziłam za niego trochę z ciekawości, jak to jest być panią hrabiną i zupełnie od siebie zależeć, a trochę nawet polubiłam go, bo psuł mnie dogadzaniem. Przebaczyłam mu nawet, że rozdzielił mię z moją miłością. W gruncie rzeczy byłam przekonaną, że jestem jego królową i nigdy nią być nie przestanę — i to mię cieszyło.

Nie omyliłam się. Żadne z moich dzieci w maleństwie tak nie umiało kaprysić, jak ja w pierwszych latach mego małżeństwa. Wszystko mi było wolno i wszystko miałam, czego zapragnęłam. Nic mnie tak nie śmieszyło, jak widzieć serdecznie stroskaną twarz męża, kiedy nie mógł dogodzić któremu z wyszukanych wymagań moich. Gdy dochodziliśmy już do ostatka — ja, w żądaniu, on, w rozpaczy — wówczas brałam wielką jego głowę w obie swe dłonie i patrząc mu w oczy, śmiałam się, śmiałam, do łez. Był ogromnie zabawny, kiedy nie mógł zrazu pojąć co mi się stało, a potem sam, zawsze nie wiedząc dla czego, śmiał się wraz ze mną i był tak śmiesznie szczęśliwy!

Przez lat dwa tak żyliśmy. Kiedy mi się urodziła córeczka, szczęście moje było tak wielkie, że formalnie pomieścić go w sobie nie mogłam. Zdawało mi się, że to jest jakaś duża żywa lalka, taka zabawna, taka prześliczna i taka moja! Spowitą jeszcze ubierałam w moje czepeczki i peniuary; śmiałam się, śmiać się kazałam mężowi, i matce, i mamce, a potem jak szalona wycałowywałam każdy członek, każdy cal różowego twego ciałka. Gniewałam się na męża, bo ciągle mi się wydawało, że za mało cię kocha.

Ale na nieszczęście, radość moja nie długo trwała.

Od czasu choroby nie mogłam przyjść do siebie, a czem dalej, tem gorzej mi się robiło. Napadała mię dziwna słabość, zaczynałam kaszlać. Doktorzy zalecili mi wyjazd nad morze. Nie chciałam się zgodzić, aby mąż mi towarzyszył; jego desperacki wygląd do gniewu mię doprowadzał. Drażniło mię to, nie chciałam go widzieć. Pojechałyśmy zatem z ciotką.

Czarowne to były dnie w mojem życiu ten pobyt nad błękitną zatoką, pod niebem jasnem i szafirowem. Słońce takie było promienne, powiewy morskie rzeźwiące, błękitne fale szemrały cichutko, a białe rybitwy niepłoszone żerowały spokojnie na brzegu. Całemi dniami pod cieniem platanów leżałam w hamaku i zdawało mi się, że rozpłynę się cała w słodyczy niebios i morza. Myślałam najczęściej o mojej dużej lalce i płakałam, jeśli wypadkiem którego dnia nie było listu o niej. Siły wracały mi zrazu powoli, później jednak z każdym dniem stawałam się rzeźwiejsza i żywsza; po trzech miesiącach czułam się już tak dobrze, że robiłam długie wycieczki pieszo i pluskałam się w morzu.

Ach, ten powrót do zdrowia, gdy się ma lat dwadzieścia! Nigdy już potem nie czuje się takiego przypływu sił, takiej rozkoszy z życia, takiego czegoś, co rozsadza piersi i żąda skrzydeł, aby lecieć w przestrzeń, w wszechświat, w wir uczuć. Krew grała mi w piersiach tak żywo, że chwilami oczy mi się mgłą przysłaniały, a świat wydawał się taki piękny, a tak upajał...

Trzeba jednak było wracać do kraju. Pomimo, że tęskniłam za dzieckiem, żal mi było porzucać mój uroczy zakątek. Wyprawiłam więc ciotkę naprzód z rzeczami, i pomimo jej rozpacznych protestów, pozostałam jeszcze na kilka dni sama. Chciałam się nasycić pełnią ciszy i pełnią swobody, napoić się w samotności przyrodą, słońcem i morzem.

C. d. n.

O HYPOKRYZYI.

»Wesele« *Wyspiańskiego.*

Strasznie wiele odgaduję:
tak po polsku coś miarkuję.
Nos. Akt III. Sc. 8.

Wesele, na którem przypadkiem znaleźli się ludzie o różnych układach wrażliwości, może przedstawiać widok malowniczy, codziennie groteskowy, rodzajowy jednem słowem, albo też zgoła nie zajmujący; dla umysłu jasnowidzącego, więc obdarzonego wyobraźnią niszczącą, usuwającą wszelkie zapory, może być oznaką, znakiem, obrazem dramatycznym. Obraz jest dramatyczny, o ile jest wskazówką zajścia, dziania się, zmagania się sprzecznych stanów, życia i śmierci.

W starożytności umiejętność odgadywania losów ludzkich z pewnych znaków także słów, nazywano hypokryzją.

»Wesele« jest dziełem odgadywania, urojenia, marzenia. Człowiek, który zbyt wiele miarkuje, nie należy do żadnego zajścia, jest poza niem, ponad niem czasem, w jego przeszłości, albo przyszłości, nie »żyje«, jak mówią krótko. Otóż, człowiek, który odgaduje losy ludzkie, jest ich twórcą, fatalnem odkryciem znaczenia nadaje kierunek działaniom. Siłą myślenia, usuwającego od żądz wszelakich, może wspiąć się do stanu, na którym staje się duchem pogodnym, wówczas patrzy tylko jeszcze jako inteligencya bezosobista. Zanim do tego dojdzie zwisa między niebem a ziemią, nie mogąc nigdy pomięszać się w powikłaną grę zdarzeń, ponieważ wydają mu się beznadziejnym absurdem bez wyjścia. Mamy tu przeciwstawienie dwych umysłów: Chochoł i Nos, tak przelotnie uważany przez wszystkich jako »epizod«. Nos jest człowiekiem sprzecznym w sobie, innym na wewnątrz, innym na zewnątrz, nieufnym, milczącym, ponieważ każde słowo, usiłujące chociażby określić tylko rzecz nieubłaganie szereguje się w łańcuch zdarzeń i wykrzywia drogę. Ma serce! jednem słowem za wiele miarkuje, a przedewszystkiem ten śmiech kołujący nad głową, bezosobisty, oderwany, nie szyderczy, lecz przekorny, na pół złośliwy, na pół dowcipnie chytry, który jest twarzą każdej rzeczy dotkniętej. Ludzie których narzędziem jest śmiech, cofają się nieufni przed śmiechem, uciekają do siebie. Nos jest twórcą losów ludzkich, Nos nadaje znaczenie bezmyślnym aktom ludzkim, Nos jest artystą.

Lecz dramat nie może zasadzać się na uszykowaniu kolejnem zdarzeń widomych, (jak mówią) z życia wziętych, składających tak zwane losy ludzkie. Dramat tkwi w nierzeczywistych, raczej niewidomych znaczeniach aktów ludzkich, tkwi w jego twórcy; przedstawia się więc jako rozszczepienie świadomości jedynej na tysiące ruchów i działań; może więc tkwić w kamieniu, w gwieździe spadającej, w sytuacyi skamieniałej i nieruchomej, bo ona jest tylko oznaką zajścia. »Wesele« zatem jest sytuacyą.

Mickiewicz cytuje powiedzenie De Maistre'a (»Napoleon jest chimerą, potworem«) powiedzenie samo w sobie nic nie znaczące, którego źródłem jest może podziw nadmierny mięszany z przerażeniem przed siłą rozpętaną. Mickiewicz w tem powiedzeniu nie widział dramatu, żądał ruchu, obraz nieruchomy zamało miał dramatyczności. Lecz należałoby może poszukać potężnej inteligencyi,

która tę chimerę stworzyła. Wylęgła się może w mózgu i snach odwróconego od hałasu dnia pustelnika, który pomnażając swoje gesty, puszcza w ruch grę zawiłą życia, wiedzie żywot tysiąckrotny, sam będąc zmartwiałym posągiem patrzącym. Widzimy jak posąg ten unicestwa sobą i w sobie świat ludzki, który staje się dlań znakiem, skinieniem własnej jego wyobraźni, sytuacyą. W tym posągu tkwi dramat. Jestto hypokryta w znaczeniu wewnętrznem, duch wyzwolony, tłomaczący znaki swoje w kierunku absolutnych, niewidomych sił, w kierunku ducha. On jeden jest, wszystko dokoła złudą, urojeniem, marzeniem. »Wesele« jako sytuacya istnieje, »Wesele« jako dramat tkwi w świadomości jedynej, poetycznej, może w Racheli, która nie mogąc znieść ciężaru tak wielkiego, zdajego na Chochoła, to bóstwo bezosobiste. Na taki sposób świadomość ta zna tylko marzenie, śmierć, odwrotną stronę, na tę zaś stronę wysela chytrze po rozkosz innych; odkrywając siebie w drugich oszukuje się i uspokaja, jest razem »ja« i »ty«. Dla takiego pustelnika świat ma formułkę pogardliwą: »nie zna życia« nie bacząc, że życia nie można znać, bo wówczas życie staje się tylko pojęciem, wypada z Rzeczywistości. Pogarda świata ma źródło swoje w sprzeczności, świat zna jednę tylko tylko stronę życia, którą samolubnie nazywa skończoną; życie ma stronę drugą z widokiem na nieskończoność, na śmierć, na odwrotność i bezpowrotność (i inne jeszcze podobne wyrazy) w którą połowicznie zbrodnicze oczy rzucają od czasu do czasu ciekawe spojrzenia, lecz, żeby ukmnąć odrazu. Dla pustelnika patrzącego na tę grę, sprzeczność tkwiąca w każdej drobnostce odkrywa się w swej nagości: człowiek jest pijany nieskończonością: odurzony; wszyscy szukają skończoności, kresu, sytości: w szczęściu i w nieszczęściu. Prócz zwisającego w przestrzeni, wytrąconego z toru poety (np. w »Weselu« Nos) wszyscy są mierni, którzy, szukając wolności, wielkości, razem boją się wolności, wielkości Ducha. Wszelkie dążenia do wielkości i piękności spotykają niechybnie i bezpowrotnie na drodze niezachwianą przeszkodę: Śmierć. Co prawda, miernym jest właśnie przeszkodą życie, ciasnota, okoliczności tak zwane. Chwilami droga stoi otworem, ścieżka wiedzie nawet przez pola ukwiecone, człowiek już kosę ma w ręku, żeby ściąć wrogowi głowę, lecz nagle... to, zdaje się, sen był tylko! Taniec senny par, stanowiący ostatnią scenę »Wesela«, sytuacya skamieniała, przedstawiająca malownicze pomięszanie gorsetów, sukman, fraków ma w sobie dramat, ma sobą za Rzeczywistość, Możliwość, która drzemie. Lecz rzeczywistość ta właśnie jest urojeniem, jest losem ludzkim pchniętym przez twórcę w nieskończoność. Ach, nieskończoność, jaki absurd, nieprawdaż?

Wszystkie niemal osoby »Wesela« stanowią dla siebie odrębne sytuacye, poza któremi chytre oko myśliciela dostrzeże Rzeczywistość, dramat. Niema żadnej przytem wagi tytuł osób współczesnych, minionych, wszak to jedno. Współcześni są może wygodniejsi, można w nich ukazać pląsy upiorów, ich nakazy i zakazy i korne wykonania. Zastanawia pytanie, jakie znaczenie może mieć dla takiego myśliciela historya przeszłość, minione dni, chyba znaczenie metafory, mówiącej odwieczną rzeczywistość, jaka tkwi pod nieruchomym gestem pozornej obecności innej. Lecz o tym dramacie wie on jeden, który jest w tem marzeniu, w którego głowie lęgnie się to marzenie, który jest twórcą, bogiem osobistym, euchem (jak mówi tradycya literacka polska).

Duch zatem jest niszczycielem, ludzi zamienia na znaki, jest, powiedzmy krótko bohaterem! Lecz bohaterem może być każdy człowiek w narodzie, każdy może wznieść się do wspólności z duchem, dokonać czynu, czyli przeskoczyć (jak niebacznie) kłodę materyi.

W »Weselu« każdy z tych ludzi ruszających się na scenie chce być bohaterem, lecz nim nie jest.

> O Wielkościach darmo śnić,
> trzeba żyć, trzeba żyć.
>
> *Nos. Akt III. Sc. 3.*

Czasy bohaterskie podobno już dawno minęły i ugrzęzły w melancholijnych mgłach i błotach przeszłości. Nieodwołalnie. Gdyby

wróciły!?... Takie jest tęskne marzenie tych ludzi zapatrzonych w przeszłość, i olśnionych przeszłością, gardzących teraźniejszością mocą zacieśnienia swego, które nie daje im pochwycić zdarzenia w jego bezpośredniej rzeczywistości. (Właściwie żądają tylko dekoracyi, powrotu czasu, bo ludźmi oni sami będą). Lecz kto to potrafi? Kogo nie tłoczy przeszłość? Chyba Duch.

Począwszy od pana młodego aż do Marysi Dziada, wszyscy oni żyją w przeszłości, czy ją apoteozują, czy też potępiają (przeszłość oczywiście bardzo tem zmartwiona!), i dla tego nie żyją właściwie. Kto ogląda się poza siebie, ten czeka na siebie — kto patrzy przed siebie — goni za sobą, jest wiecznie wytrącony z siebie, nie żyje! Niewola jest zasadnicza!

Wśród tych wszystkich ludzi jedynie Kasper, Jaś, Czepiec... żyją, wszyscy inni wnoszą tylko jad swój w prostotę. U tych innych zachodzi dziwne zjawisko złudzenia optycznego w stosunku do przeszłości (np. Stańczyk i Dziennikarz) są obrazem na siatkówce w stosunku do przedmiotu odbitego — są pozorem, złudą i kłamstwem. Można zauważyć, że te postacie z przeszłości, nie rzeczywiste, są żywe właściwie, że jednak ten, który na nie patrzy, widzi tylko przedmiot swego bezpłodnego marzenia (albo przedmiot jeszcze bardziej bezpłodnego narzekania i urągania), widzi pewną epokę historyczną, która już dawno minęła. Otóż dla człowieka żyjącego, t. zw. silnego i twórczego, żadna epoka nie minęła, każda jest w tej chwili — kostyum jest przypadkowy, kostyum jest nawet konieczny, inaczej życie i czas pochłonęłyby ludzi, nie zostawiając ani śladu. Pod znakami jednak znajdują się rzeczywistości, z któremi jedynie liczyć się należy.

Zresztą czasy bohaterskie — może ich nigdy nie było? Ostatecznie Czas jest materyałem niezmiernie cierpliwym i podatnym i zawsze da z siebie utkać bohatera. Wiedzą o tem dobrze kobiety dumne, fatalnie skazane na samotność. Obecność jest nienawistna dla człowieka zbyt wiele myślącego, lecz mało rozumiejącego. Nie można wiele myśleć, trzeba wiele rozumieć, choć i jedno i drugie wytrąca z ręki narzędzie rozkoszy. Nie można zastanawiać się nad minionym gestem, który w istocie swojej jest nieśmiertelny, ponieważ wydobywać znaczenie rzeczy, znaczy cofnąć ją w przeszłość, znaczy chwytać metaforę. Znaczy umieszczać się w przeszłości rzeczy, w jej znaczeniu wróżebnem, nie w niej samej (zauważyć należy, że przez rzecz rozumiemy nie przedmiot, lecz pewne ułożenie się figur ludzkich, wytwarzających sytuacyę, zdarzenie). Kto to jednak potrafi? Prócz potężnej inteligencyi, która mocą swej zdolności takiej, stanąć może obok Inteligencyi świata.

Rzecz i znaczenie: dwa światy, z których jeden tylko jest pierwiastkiem życia, bohaterstwa. Przeszłość jest znaczeniem Obecności, jest metaforą. Lecz niewola jest tu faktem pierwotnym, przeciw któremu, absurdowi, żadne nie pomogą wzburzenia. Nos, ten wykolejony, najgłębiej sobą przedstawia takie widzenie rzeczy. »Wesele« w tym punkcie ma pierwiastek swojej psychicznej budowy. Osoby dramatu, jak zaznaczył Wyspiański w książce, to widma, upiory, nie zaś ludzie, poruszający się przez ciąg aktów na weselisku, tworzących sytuacyę, a o dramacie nie mających nawet wyobrażenia. — »Wesele« ułożone jest nakształt świata, w którym opasują się wzajemnie pierścienie, mniejszy wchodzi do większego i w ten sposób w jedno łączy się niebo i ziemia. (Bez środków pomocniczych). Jestto zatem dramat, jakiego pragnął dla literatury polskiej Mickiewicz. Budowa wskazuje ziemię i niebo: dramat odbywa się w niebie, (w świecie pozazmysłowym): znaczenie sytuacyi jest w niebie, w upiorze, w Duchu, w przenośni. Jest tu zatem wysiłek niezwykły. Mamy tu rzecz i znaczenie równocześnie. Może to być dzieło jedynie człowieka, umiejącego wcisnąć się w sam rdzeń zdarzenia, umiejącego tłomaczyć znaki w kierunku ich absolutnej rzeczywistości. Stańczyk, Widmo, Szela, Wernyhora i t. d. z tego punktu widzenia są przenośniami. Przenośnia tłomaczy rzeczywistość, tłomaczy Ducha. W swojej istocie taka metafora nic niema w sobie rzeczywistego, jest marą wyobraźni, jest powiedzmy to krótko! ubraną przyrodą, siłą, która tkwi

w aktach ludzkich, jest marzeniem i przeznaczeniem człowieka pchniętego na drogę swego losu. Czyli jest Słowem, Rozkazem. Stańczyk, Szela, Wernyhora są to pojęcia bohatera w różnych wyobraźniach — kto sam jest bohaterem, nie ma przenośni. Kasper i Jaś nie mają przenośni, przychodzą, kiedy przesunęli się już ludzie z przenośnią. Gospodarz i chłopu chciałby narzucić przenośnię, Piasta, lecz chłop na to nie zważa. W nim metafora tkwi jako instynkt, duch, teraźniejszość i siła gotowa na wszystko. Dlatego wydaje się taką potęgą tym z miasta.

Takie zestawienie jest wesołe i jest smutne. Ludzie szukający życia, wielkości, szukają właściwie kostyumu, w tem ich zaślepieniu można upatrywać tragedyę, można upatrywać komedyę, jak kto chce. Kto widzi dokładnie zamienia się w śmiech skamieniały. Widzimy zatem: tu Marzenie, ukazujące ludziom losy, śmieszny sobie posąg stawi. Sytuacya, fakt, zdarzenie, niema większego nadto absurdu.

Lecz ostatecznie kto wie o tem dramacie, który odbywa się w cichości, ponad głowami sennie patrzących par, zasłuchany w tententy mar swojej wyobraźni, skierowanej w przeszłość. (Bohater koniecznie musi pochodzić z przeszłości). Kto sobie to wszystko wyobraża. Może Nos — ale przedewszystkiem Rachel, która potem ujęta świadomością szerszą, oddaje swoją rolę Chochołowi, może żeby się ukryć tem lepiej. W ten sposób akt drugi, czyli dramat właściwy, więc znaczenie, przeszłość, przeznaczenie i przenośnia, jest urojeniem Chochoła, twórcy, który przez cały czas jest niezmienny. Obecność, sytuacya ukazuje się w całej sennej, nieprzespanej swej istocie, i narzuca się swojem przenośnem ciążeniem ku przepaści. Widz hypokryta, poeta, patrząc na takie zdarzenie, opasuje je dokoła całym rojem zmyśleń i możliwości, które są Rzeczywistością. I w ten sposób powstaje dramat »Wesele«. »Wyobraźmy sobie tych o to ludzi jakby żyli«. — Factum est. Kurtyna może już zapaść. Ile jest w tem urojeniu prawdy? Urojenie jest prawdą.

Zdać sobie sprawę z sytuacyi jest rzeczą trudną, trzeba być bardzo od niej oderwanym. Ktoby to umiał? Właśnie ów poeta, który jest zawsze wytrącony i przerzucony w poetyczność, dziwaczny marzyciel, który z swoją nieszczęsną zdolnością »miarkowania«, widzi tylko niedokończoności, wszędzie zachodzi, milczy zawzięcie, najlepiej »na ten temat wogóle śpi«. Każdy z tych ludzi ma w sobie pewne wstydliwe, n i e d o k o ń c z o n e marzenie, więc takie, które należałoby szybko okazać, pokazać. Życie bezimienne jest trudne. Jedna przyroda jeszcze, nieszczęsna, jeden duch jeszcze godzi się tak nieuczalnie marną. Dlatego żyje bez skrupułu, sans phrases. Nos chciał żyć bezimiennie, lecz i on ma swoje marzenie, pochylone nad wiecznym Absurdem. Wszyscy mają tu swoje marzenie, lecz wszyscy chcą je urzeczywistnić, dokończyć, skończyć, zamienić na co innego, obcego, zewnętrznego, dalekiego. Żaden nie urzeczywistnia się w sobie. Zawiele myślą, zawiele słuchają, nadsłuchują, zasłuchują się. Budzą się ze snu z odwiecznem pytaniem: co robić? ponieważ nić, łącząca niebo z ziemią raz na zawsze zerwana. Marzenia nie można kończyć na jawie. Marzenie idzie w nieskończoność, w Bohaterstwo, w Śmierć. Widzimy, jak tu złośliwy jakiś duch dokończył za nich marzenie w marzeniu. Oni wszyscy chcą kończyć na jawie; na jawie niema końca, skończoność jest absurdem. Marzyciel rzecz zaledwie pomyślaną już ma w przeszłości, umie chwytać jej znaczenie i przeznaczenie, końce uchwycić tu teraźniejszości nie zdoła jak w metaforze. Dla marzyciela teraźniejszość jest może największem absurdem, czyli największym ideałem. Tak więc zwisa między czasami, w samej wieczności (jak mu tam niewygodnie). Dar poetyczności każe mu żyć urojeniem, pieśnią, każe mu widzieć w parach tańczących posągowe Rzeczywistości, jakie dla niego, istoty żyjącej w nieustannem jasnowidzeniu, tkwią za każdym pozorem. On nie pragnie kończyć na jawie — urzeczywistniać, w każdem jest ciągłem urzeczywistnieniem marzenia, sam jest tylko Urojeniem. Bonaparte miał żyć — może życie Nosa jest właściwem życiem — lecz Bonaparte nie znał przeszłości Dla niego istniała tylko Obecność. Nie można żyć, gdy przeszłość jest tylko

faktem historycznym, więc ciężarem dla pamięci, nie zaś odwieczną obecnością ducha. Bonaparte nie znosił ideologii, Bonaparte nie szukał życia, sam był życiem, może dla tego wydawał się chimerą. Życie jest wszak absurdem, nie istnieje wcale, nigdy nie istniało, nikt jeszcze tego stanu nie osięgnął. Jeżeli zaś tak, to nikt o tem nie wie, dzieje się to bezimiennie, jako urzeczywistnienie człowieka w duchu, w idei. Snu na jawie kończyć nie można (w tem tkwi potęga dzieła sztuki). Albo życie jest — wówczas o niem się nie wie, albo się wie, wówczas już było, melancholijnie już było. Dlatego ci ludzie tak dziwacznie zwracają się w przeszłość, pragnąc aby wróciła. Dla człowieka prostego, np. chłopa, każdy ruch płynie z życia, nie z myślenia, marzenia, nie jest zamianą, lecz instynktem. Chłop dlatego żyje. Wszyscy inni chcą żyć, gonią za sobą, nie znają się wcale, nieszczęśni! Życie jest na dwóch krańcach bezimiennych, ukrytych. Napoleon-pustelnik i chłop, Marzenie, Duch i Siła, Potęga, co jest jedno.

Sytuacya jest dziwna: dwóch, trzech może rozumie i czuje, chłop żyje absolutnie, wszyscy inni połowicznie pytają, co robić. Dlatego chłop dla nich przedstawia się — może nawet nie wiedzą o tem? — jako bohater. Lecz szukać bohatera poza sobą, znaczy szukać wskrzeszenia przeszłości, marzenia na jawie, może znaczy gorzej, bo zepsuć bohatera? Wykorzenić go?

»Wesele« jest urojeniem i z urojenia, które jest przedłużeniem t. zw. rzeczywistości czyli jawy, płynie budowa tego dramatu, technika jak mówią, gdy tymczasem jest to istota dramatu. Właściwie to tylko należałoby powiedzieć — bo wszystko inne jest »literaturą«. Dla literatury jednak »Wesele« jest nauką, punktem wyjścia. »Historyczni« pisarze muszą pokazać Rzeczywistość, obecność, nie zaś paradę kostyumów. *St. Lack.*

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska: »Nauka o ludności«. Warszawa, nakł. M. Arcta.
— »Wywiady nad położeniem robotników w Krakowie«.

Zofka Koeder: Misterij Žena. Praga 1900.

Zofka Koeder: Ljuberen. Praga 1901.

O pracach nadsyłanych do »Nowego Słowa« zamieszczać będziemy sprawozdania w najbliższym czasie.